

Nie jest gotowy



BOŻENA KEFF

Nie jest gotowy

Opiekun

Lejb Goldin, tłumacz i literat
piszący w jidysz;
trzydzieści pięć lat. Teoretycznie
świetny wiek. Jak pierwsze wzniesienie
z którego już można ogarniać
początki i zmierzchy.

Ale praktycznie
jest rok 1941, getto w Warszawie; kilkadziesiąt
ogrodzonych ulic i kilkaset
tysięcy ludzi
chorych od tych ścian, bruków, szyldów,
podwórek i schodów, od okien
za którymi znów to wszystko widać. Na ulicach
zapach potu
oraz trupi odór.

Niemniej jest piękny dzień późnego lata,
bezczmurny, parny. Wieczorem
spadnie niebieskawa mgła
powietrze nabierze jakby wypukłości
postacie ludzi zciągną się
zciemnieją.

Lubię jesień — napisał
chory na głód i śmiertelnie głodny
autor
tej niedługiej historii.
(Tak, ja też lubię. Nie dlatego jednak
idę za nim — powiedzmy 30 sierpnia 1941
od przedpołudnia prawie do wieczora — lecz dlatego
że przepuszczając jego historię przez siebie
muszę wreszcie uznać
ostateczność, nierozwiązywalność
tamtej rzeczywistości.
I nie tylko tamtej.)

Więc niedługie opowiadanie o wyjściu z domu
(jedyne, co — dość słabo —
trzyma go przy życiu)
i o dalszym snuciu się ulicami. Wszystko

tonem opiekuna żywych,
półżywych, nieżywych. Nostalgiczny
kpiący — możliwe, że jest jednym z Dzieci Życia które od zawsze wiedzą, że rodzice,
przodkowie, pokolenia tylko transmitują istnienie. I że samo życie stanowi pierwotną
wspólnotę żyjących

kiedykolwiek. Do której
należał, oczywiście, także
mężczyzna, o którego ciało
leżące w poprzek chodnika prawie się przewraca
gdy handlarz starzyzną robi mu uwagi
że chyba trudno nie zauważyć trupa
i że dość już brudna i wylachmaniona
ta marynarka, czy musi ją bardziej zdeptać? Nie musi —
rzecz jednak w tym, że czasem
zapada
w boczne rojenia
w obrazy przeszłości
nie ma tam jednak dróg ani podziemi
prowadzących wstecz czasu lub do innej konstelacji faktów;

och, wyłonić się na tamtej górskiej ścieżce ze dwa lata temu
lub w jakiejś kafejce aż na końcu świata:
kawa, lody, gazeta
nad głową lekko trzepocze płócienna markiza
w zielono-białe pasy —

Cóż, trzeba się wynurzyć
w tej samej przestrzeni
kilkudziesięciu ogrodzonych ulic —

*

Tęskni do miasta za murem
mówi o nim namiętnie: *moja miłość, moja druga matka*
w miejscu odcięcia nosi ranę rozłączenia.
(Nie wiem, co mam myśleć. Miasto — czyli co?
Czy tam jest ktokolwiek?) — Ach, rzeka — woła —
zobaczyć jej brzeg, nasycić się!

(Mieszkam jakieś półtora kilometra od tego Jordanu,
jezdni, park, kilka murów
z rysunkami i napisami
w tym „Żydzi do gazu”, znów jezdnia, tereny sportowe
i już jest, płynie.)

*

W garkuchni
wisi gorąca para, zapach życia; jedzenie
wchodzi pomiędzy rozmowy, okrzyki
zciszone i głośniejsze (*kto? kto umarł!*)
brzęk łyżek, z pomiętej gazety
wylania się chleb
(niegrubo ukrojona kromka, ale *zjadłoby się*
choćby kawałek)

ktoś wylizuje talerz, żeby nie przepadło
ani jedno ziarno kaszy. Ciut nieuwagi i nieco szalbierstwa
i dnia tego stanął przed nim drugi talerz zupy.
Szczodry dzień
bo jeszcze
na ulicy Leszno, w bramie
znalazł trochę tylko nadpsuty
malutki ogórek.

*

— ogórki, pomidory, chleb, herbata z cukrem
wakacje ledwie zaprzeszłego lata; prawdziwa przestrzeń
ściany zielonych drzew z gęstym szumem liści
zamaszyste niebo, rzeka po horyzont, trzepoczące w wietrze
rękawy — *swobodne, bez Jude* —

*

Opaskę zdejmie za rok
przed komorą gazową (o ile dojechał żywy)
potem już nikt nigdy nie będzie wiedział
które z tych nagich posplatanych ciał
niebieskich od rozpuszczonych kryształków gazu
było jego —

*

Droga powrotna z kuchni
jest o wiele dłuższa (do czego
ma się spieszyć? Do tej nory
z brudną pościelą, do książek
których nie sposób czytać, do drzwi
do okna?).
Snuje się po ulicach,
przystaje na chodnikach; powoli zapada zmierzch

(z początku jak ledwie widoczna przesłona
między dniem a nocą. Czasem, kiedy mnie zastaje
w obcej otwartej przestrzeni
przyspieszam do domu myśląc: włączyć światło,
zasłonić okno, puścić muzykę).

Jego nie niepokoi
lubi *powagę tej pory* i ciemniejące powietrze.
Powietrze ciemnieje
gdy stoi w grupie ludzi
patrzących
w oświetlone okno szpitala: *lampa, spokojny pośpiech,*
lekarka i pielęgniarki operują dziecko —

Po co, mówi, dlaczego?

Ale wie przecież
po co i dlaczego
— po to

żeby w jakiś wieczór móc stać na ulicy
patrząc na coś mniej czy podobnie poruszającego
przyspieszać przed zmierzchem
lub kontemplować ciemniejące niebo
płynąć w nurcie przemian
raz na jakiś czas popatrzeć z góry czy z boku
obejmując innych i siebie
okiem byстрыm,
nostalgicznym, kpiącym:

— o, płynę

19 października 1994

Opowiadanie, które tu służy za pierwowzór, prawdopodobnie Lejba Goldina, zwane Kronika jednej doby. znajduje się w książce Rury Sakowskiej *Dwa etapy. Hitlerowska polityka eksterminacji Żydów w oczach ofiar*, z jidysz tłumaczył Jan Leński. Wrocław 1966 Tam też jedyne dostępne informacje o Lejbie Goldinie, którego do pewnego stopnia utożsamiam z bohaterem opowiadania, choć staram się wybierać to, co mogło być im wspólne. Zdania lub wyrażenia zaznaczone pismem pochyłym są cytatami.

Nie jest gotowy

Urodzona w 1914 roku,
w niebogatej, emancypującej się, żydowskiej rodzinie,
jaka bym była? Raz żarliwie w środku, raz z boku,
niecierpliwa, ale dość uważna.

Gdyby były pieniądze, uczyłabym się. Gdyby nie było,
też bym próbowała. Być może zarabiałabym szyciem
i chodziła do szkoły pielęgniarek — bo zawód trzeba mieć
koniecznie. Pewnego dnia
na pedałowej maszynie Singer
zszywałabym sukienkę z lejącej się, pełnej ruchu żorżety
i dojechawszy — niekoniecznie równo — do końca szwu
spojrzałabym w okno: błękitna zatoka
między dachami i wypływające białe obłoki —
i czułabym

coś chętnego do zmiany,
do przepływania. Cokolwiek bym zresztą robiła
i tak bym wiedziała, że świat nie jest
nie
świat nie jest
gotowy.

Na pewno chciałabym wiedzieć; czytałabym
socjalistów, Marksa i mnóstwo powieści. Z samouczka uczyłabym się francuskiego. Nie-
zbyt bym
wiedziała
gdzie leży mój talent
ale czułabym jak pieni się, buzuje.

*

Tamtego wieczoru
wychodząc z narzeczonym z kina
jeszcze przenikałam z obrazu w obraz, przyciskając rękę
do własnego serca
w samym środku gęstych cudzych uczuć,
na innych ulicach, wśród mgły przesączonej światłem —
— Aż stanął przede mną
martwy tunel tego z nim wieczoru — i wszystkich
następnych. Za oknem kawiarni miejski skwer; latarnie
podświetlające sklepienie czerwonych liści nad aleją: pięknie
byłoby nią odejść w Inne Możliwości.
Grzebiąc w szarlotce
Powiedziałam, że nie chcę już się z nim spotykać.
Miał, owszem, jakieś miejsce dla mnie —
czy dla kogokolwiek — stałe i na swój sposób nawet za poważne,
przy domu i dzieciach. A ja bym chciała miłości,
szczególnej Uwagi
oraz Skłonności do Przemian.

Przez kilka następnych wieczorów
sztywniałam ze strachu
że już zawsze
zawsze i na wieki zostanę sama.

*

Byłam sama, ale nie samotna,
przeszłam właśnie z młodzieżowej sekcji
Bundu (albo PPSu lub KZMP)
do organizacji. Uwielbiałam wtedy słowo
internacjonalizm
mocne i pełne powietrza; jak poryw Erosa
do najdalszych granic, czułość podobieństw
i magnetyzm różnic

Nie czułam się polska, na pewno,
i żydowska tylko warunkowo,
raczej z obrzeży, prędzej z negatywów jednego i drugiego,
wewnętrzny ruch
i tęsknota na zewnątrz

Dyskutowaliśmy czy wraz z wyzyskiem i niewiedzą
wygasną uprzedzenia, czy rasizm i antysemityzm
znikną same z siebie, czy ciemnota
to tylko ciemnota czy jeszcze
coś więcej? Chodziliśmy na wycieczki
z plecakami, biały kamyczek kopnięty wysoko
spadał do szybkiego zimnego strumienia,
dwa razy w tygodniu grałam w siatkówkę, krzycząc piszcząc;

— to wszystko pozwalało lubić teraźniejszość
którą jednak raczej nazywałam *jutro*
wobec czego mogłam lekceważyć ciemne *dzisiaj*
mówiąc o nim *wczoraj*.

*

W 1936 w lipcu
każdego dnia rano
kupowałam gazetę — z powodu wojny w Hiszpanii.
„Oby tych żydków czerwonych — powiedział facet
w opiętym garniturze — zgnetli jak wszy”
i odszedł słoneczną ulicą
nad jego głową korony drzew
i szpalery otwartych okien

a ja w pierwszej pustej bramie
kucnęłam, twarz zasłoniłam gazetą i zapłakałam
jak niczyje dziecko,
a jednocześnie zaczęły wyrastać mi szpony
i w gardle czułam ogień, którym mogłam zionąć..

*

Gdybym się bardzo starała (a starałabym się)
dostałabym się do Hiszpanii. Granicę przejechałam
autobusem, półżywa ze strachu. Po przeszkoleniu
wylądowałam u socjalistów, w oddziale UGT.
Tak czy inaczej
tutaj moja Oczywistość Wewnętrzna spotkała
zewnątrznie *tak* świata; w szklistym powietrzu
pomiędzy pasmami gór, na rozległych
kamenistych równinach gdy pociąg skręca i z przednich
wagonów machają do nas, w tylnych. Nawet w okopie gdzie od wilgoci boli mnie żołądek
ale

tak, si, ja, oui
kiedy we dwoje we dwie my w trójkę siedzimy
na wielkim nagrzanym głazie

Czy chciałam strzelać? Całą noc myślałam czy
strzelać, i tak, mówię, tak, chcę broń, będę zabijać,
skoro i mnie mogą, to jest sprawiedliwie. Strzelać;
odsyłać upiora w niebyt —
skoro inaczej się nie da

Z końcem wiosny zaczęto
zabierać kobietom broń; formowano Armię,
wprowadzano bardziej wypróbowany porządek;
na upalny front w Aragonii
pojechałam już jako pielęgniarka, bez broni —
i tam mnie trafiono
na początku września. Kiedy mnie postrzelono
obejrzałam się gdzie stoję

ja
ta nie trafiona. Nie było jej.
Cóż,
nasz oddział przestał istnieć w sierpniu,
i już nie było tych, których ja najbardziej...

W miasteczku nad morzem, na północ od Walencji
najpierw mnie wyleczono potem ja
leczyłam innych — ni żywa ni martwa,

chodząc po plaży w zimowym białym słońcu
jak w bąblu nocnego powietrza. Już zbliżał się koniec;

i w różnych wariantach śnił mi się sen: Republika w czapeczce frygijskiej, ta z lwem,
jest głuchoniema jak pies magazyniera z naszego szpitala
ze smutku wyje w środku, i nikt tego
nie słyszy.

*

Buczenie statku, który mglistym rankiem
odbijał od brzegu głuchej Europy,
para mojego oddechu nad zimową wodą
— *żegnaj bieno matko*

*

Wyjeżdżałam jako żona lekarza z Bostonu —
pracowaliśmy razem nad morzem; miał legalne istnienie
paszport i dom;
dzięki niemu uwoziłam życie,
które niedawno ocknęło się we mnie ze strachu
przed rozkładaniem się w kamienistej ziemi;
umierać — nie dokonawszy niczego, tak mało wiedząc

Ten czas, to teraz w moich oczach ciemnieje tężeje
pod lśniącą ruchliwą powierzchnią zdarzeń i dat
trwa nieruchawy mezozoik, era wielkich gadów
a może epoka wampirów; piją krew ale nie ożyją,
oświecone dzieci — nie wierzyliśmy w nie
lecz nie uciekniemy.

*

W Stanach kilka pierwszych lat spędziłam
jak nie w swojej skórze, powoli się ucząc kraju i języka,
byłam *żoną doktora* i byłam mu wdzięczna
ale polubiłam go kiedy się rozstaliśmy,
po wojnie.

*

Ten kraj, taki zauroczony sobą, a jednak
rzetelny, podobał mi się, powinowactwa z wyboru
były tu dostępnejsze, możliwości bliższe,
drażniła mnie tutejsza kobiecość i męskość, krępowały mnie
przywileje mojej skóry
choć nie poczuwałam się do tej
białości.
Pracowałam w sklepie
z aparatami fotograficznymi, potem
w kinie u moich przyjaciół: w kasie i na sali
i nauczyłam się obsługiwać projektor.

Ten film uwielbiałam, jak wszyscy: ta scena, kiedy on mówi do niej nie dając po sobie poznać: *I am not fighting for anything anymore except myself.*

Nie, nie, coś poza samą sobą także. Zawsze po lewej stronie ale już nie z wyznania, a tylko z przekonania; nienawidziłam McCarthy'ego, południa, republikanów, pań domu z życia i z reklam, teraz jednak bardziej intymnie ze sobą, z podwinętymi nogami, zaczytana dopóki na kartki nie spadła kropla lodów pistacjowych, ta ich zieleń taka nieprawdziwa, taka naturalna

Zdjęcia robiłam coraz lepsze,
W czerwonym świetle ciemni
patrzyłam
jak na papierze pojawia się powoli obraz
utrwalony wczoraj, rok temu i osiem lat temu
i patrzmy na siebie, to znaczy ja patrzę dziś na to dawniej
które już nie patrzy, ale je widać
od strony aktualnej, po której ja stoję
(do czasu —)

W jakiś jesienny wieczór, kiedy przelamuje się dzień
i noc, i fala rozlewa się w brunatno złotym świetle
na ciemniejszym piasku czasu
on wziął mój aparat
i 18 kwietnia 1958, wieczorem
pstryknął: stoję przed drzwiami domu i właśnie
przekręcam klucz w zamku, w czerwonej wełnianej
kurtce z postawionym kołnierzem,
i patrzę w obiektyw,
a potem otworzyłabym drzwi
i weszliśmy do środka.

*

A gdybym została w Polsce? Nie udało by się
dostać do Hiszpanii albo bałabym się za bardzo;

coraz bardziej bym czuła jak tu duszno, i że dotyczy mnie
tyle nienawiści i tyle pogardy, że to musi uszkodzić ci duszę,
ci korporanci, żyłtkarze, księża wężowym jadem
plujący z ambon,
i ci Żydzi z małych miasteczek, ortodoksi,
poza czasem i poza przestrzenią, te moje babcie i dziadkowie wobec których jestem znie-
cierpliwiona i nie najgrzeczniejsza,
„proszę, jaka ona mądra”, mówiła by babcia
z politowaniem.
I co bym robiła? Kogo bym poznała, z kim się przyjaźniła, jakie
plany układała? Czy zakochałabym się w Dorce z domu na rogu,
czy raczej w jej bracie,
a może zbierałabym się do Palestyny
lub do Belgii,
nie wiem

W 1942 lub w 43 zagazowano by mnie albo zastrzelono
nad rowem gdzieś w lesie
lub może bym przeżyła jakimś cudem —
— jakkolwiek by było
i tak bym wiedziała
 że świat nie jest
 nie
 świat nie jest
 gotowy —

1996

Samochód Helgi

Mój charakter pisma jest jak samochód Helgi
— najpierw nie wiem dlaczego
lecz fraza w sercu to właśnie powtarza;
wnętrze jej samochodu jest jasne, słoneczne,
pełne powietrza płynie ponad drogą, gdziekolwiek ona
tam także jej opel,
przebijają się przez przestrzenie
gdyż dusza jest ruchliwa, bystra i ciekawa
skora do śmiechu; czasem jednak — tak sobie wyobrażam
w bezruchu kontempluje mętne krople, sierocy świat
głupi
i zmierzch pełen śmierci.
*Empfindlichkeit*¹ — tak się to nazywa, co ma
w wyrazistych oczach i ustach, w twarzy dziecka,
kobiety i chłopca; co cię dopuszcza blisko
lecz nie jest
tak bliskie światu
jakby kto głupi myślał.

Wilgotna jezdnia sunie w smugach światel
i papier szeleści —

1995–1997

Nadchodzę już

Celna uroda
celnie dotykająca;
zielonkawę, jak światło po wodzie, refleksy
ważnych spojrzeń,
ćwiartka świeżego ogórka
nurzana w miseczce z sosem, a potem
chrupanie,
czarny pies w wyskoku po patyk, w śrubie w powietrzu

¹*Empfindlichkeit*, czyli, jak powiada mój słownik niemiecko-angielski, *sensibility*, czyli, jak mówi słownik angielsko-francuski, *sensibilité*. [przypis autorski]

i nasze głosy wołające *brawo! brawo!*
i stopy w miękkich pantoflach
koloru kobaltowego zmierzchu
zaprzeczłość właśnie skończonych oddechów
w ich ciągle terażniejszym łańcuchu, a jednak
zaprzeczłość;

głuchy dźwięk dzwonka

nad zapyloną drogą:

nadchodzę już

nadchodzę!

Nieskończoność

Nieskończoność, którą wielbię od dziecka,
Nieskończoność dodawanych bez końca odcinków, ekstatyczna;
świat do świata i kolejne światy!
Nieskończoność jak ogień w pochodni Statuy Wolności,
to samo światło ponad morzami najróżniejszych czasów.

— Abstrakcja z niezliczonych konkretów
wieczność z niepoliczalnych śmierci
gęsto, jeden przy drugim, ciasno, obok siebie
trupy kotów gołębi psów ludzi jaszczurek —

Gdy będę staruszką, rozstaniemy się, moja kochana
ty swoją drogą

ale ja

na lewo —

Sutra diamentowa (Jablonex)

Forma jest pustką

a pustka jest formą

są jednak pustki mniej lub bardziej błyszczące
i formy wklęsłe, ale też wypukłe.

Forma jest pustką

a pustka jest formą

ale tu stoi pustka

w formie szaroniebieskiej kanapy, którą kupiłam w Ikei,
obok niej czeka moja filiżanka z herbatą i otwarta książka
w której rozlazła blondynka ratuje
związłą szatynkę od śmiertelnej klęski —

Forma jest pustką

a pustka jest formą

gdy nie ma już oddechu ust wzroku słuchu
powietrza głosu światła ani dźwięku
wiedzy się nie pocieszysz

Ale póki jest —

Cienie

Cienie, cienie chmur sunące po trawie,
długie cienie późnym popołudniem,
cień spod ziemi,
gluchy cień
nieistnienia przed życiem, niemy cień nieistnienia
po życiu, szepczący cień nieistnienia teraz;
wszystko się wycofuje, wszystko się samo sobą zasłania,
nie da się stanąć w świetle —

Między psem a wilkiem

Dopóki widzę przed sobą resztkę światła
jeszcze nie ma strachu. Zjeżdżam na dół drogą,
mijam panią krowę. Za rzeką gorące tunele
późnego zachodu wśród wystygłych chmur:
rewolucyjna czerwień, cesarska żółć, feministyczny
wrzos; więc dzień nadal należy do nas,
dwunożni. Ale za zakrętem
gasną resztki światła, znikają lekkie cienie szprych
mojego roweru. Szara szarość, gruba i skondensowana,
osacza mnie jak mech nagle wyrosły z powietrza. Bicyklu,
uciekajmy; stopa naciska pedał, solidny
ustępliwy opór, mój oddech,
twoje mruczenie dynama, podskakujące
nikłe światło lampki. Prędziej,
świat staje się zbyt jednolity, zewnętrzny i taki
przepastny. Pelen aluzji,
których treść tłucze się już w sercu i w żołądku.
W domu mój czarny pies nastawiwszy uszu
czeka w drzwiach między pokojem a gankiem,
patrzy ze światła w ciemność. Gdzieś w przepastnej czerni
staje wilk, wygląda
z ciemności w ciemność —

A ja pędzę, pędzę
środkiem —

Co mam w kieszeni

Szminkę ochronną, cztery wizytówki
różnych radio taxi (ostatnim razem, kiedy przejeżdżam przez plac
w lustrzanych ścianach wieżowca czerwone lawy zachodu
jak tygrysi skok
ale nikt chyba nie widzi, a ja
myślę o mroku tego mieszkania na Pradze
gdzie mnie już nie kochają), trzy wizytówki przychodni lekarskich,
karnet na basen (nieznane dziewczynki
stają na dnie na rękach, potem piszczą i czkają ze śmiechu,
a ja z nimi), długopis,
mały ołówek automatyczny, gumkę, stary bilet do kina

(— *To niebo jakby nas osłaniało* — on mówi
kiedy próbują się kochać na brzegu pustyni; czerwona
ziemia, błękitny klosz nieba. — *A co jest za nim?* —
ona pyta. — *Nic* — odpowiada — *tylko*
noc. I pustka), dalej Nerwendraże, przeciwbólony Saridon (och, błoga
chwila, kiedy się rozwiera ta zardzewiała paszczyka i znowu
miętko wpadasz w swoje ciało), jakiś strzępek papieru,
tak, ten adres. Turek, 21 lat, dożywocie,
prosi, żeby do niego napisać. Lubi kino. (Tak, lubi,
ale jak mam wydobyć głos? Co mam niby pisać,
jak się pisze, o czym, takie listy? Czy mam mu napisać
„Perspektywa twojego życia przeraża mnie, bardzo ci współczuję”
czy też opisywać swoje, ale od jakiej strony
— no nie mam, nie mam pojęcia) —

Czwarta panna Brönte

Kiedy wracam z plaży do tego domu na wzgórzu
gdzie wynajmuję pokój, więc kiedy
idę lasem pod górę, tak mnie niepokoi szybkość
z jaką wszystko ciemnieje, że przyspieszam, żeby ją wyprzedzić
i wtedy też ona

czwarta panna Brönte (czwarta z tych piszących)
coraz szybciej wspina się na wrzosowisko; tak gwałtownie
się ściemnia, serce jej się tłucze z obawy
że ją wchłonie ta równomiernie kładąca się szarość, zatopi bez śladu
w garści trzyma brzeg mokrej od rosy sukni i płóciennej halki —
aż staje przed domem z jasnego kamienia, w oknach zbawcze światło
nie wie, że tam mieszka młody wydawca z Yorkshire;

O, tak, on mówi, wydaję, wszystko wydaję; ona się przy nim czuje
jakby się wydostała z gmatwaniny kosmicznych i ludzkich
przypadków, on — jak odnaleziony;
spędzają trzy oniemiałe dni, a potem latami
żyją w radosnym zdziwieniu;

Drzewa zamknęły za nimi gałęzie i zostali w lesie
mieszkają w szalacie z psem, który nie szczeka, żeby nie zakłócać ciszy
gdy dwa nasłuchiwanie słyszą się nawzajem; przyjaciółko, mów,
w dzień i w nocy płyn pod płonącym żaglem; przyjacielu, powiada,
w dzień i w nocy oczekuj mnie, płynę —

W wiele lat później od dawna samotna panna Brönte
autorka powieści oraz poematów
za okna restauracji, w której je pizzę z pieczarkami
obserwuje ulicę Londynu; tyle powozów, spieszą gdzieś posłańcy
uwija się gazeciarz, blask gazowych latarni
miętko odbija od matowego półmroku wieczoru, na piętrach
okna przyćmione jak chińskie lampiony, jeszcze wyżej
niebo — zaskakująco jasne ponad mrokami ulicy; odwieczna
pora niepokoju oswojona w mieście —
a jednak od razu dostrzega go, widzi
jak się wylania spomiędzy żywych, z powietrza, z ruchu:
całkowicie nieobecny, jakby z najgłębszego

bezwładu tego świata, z dna; nie było nic wspólnego między nim
a tym dniem z jego wczesnojesienną pogodą
z zacisznymi bladeżółtymi sferami tworzonymi przez światło i liście
i sucho-gorzkiem, odrobinę mglistym zapachem
nic wspólnego z nocą, kiedy się jej śni;
— *Dla Ciebie przebyłem oceany czasu* — powiedziałaby
z uwagą patrząc ponad kobaltowym szkłem okularów
które filtrują światło żywych; Tristan, duch współnika;
o, jakie ubóstwo, jaka nędza, nie jest nawet upiorem
niczego nie przebył, nie ma go, nie może
nie jest panem swojego nieistnienia
odwrotnie odwrotnie;

i kiedy drzewa zamknęły za nią gałęzie i została w lesie
bez latarni, które dają blask dojścia tej porze odejścia,
panna Brönte rzuciła się przed siebie, biegła i biegła drąc suknię
okrzyki; tak szybko się ściemnia i serce jej się tłucze
ta równo kładąca się ciemność wchłonie ją, zatopi —
aż dobiegła do murowanego domu, zbawcze światło w oknie
nie wie, że tam mieszka dobra kobieta, podobnie jak ona pisarka
pani Eliza Orzeszko.

Drzwi się za nimi zamknęły i spędziły trzy wspaniałe dni
panna Brönte opowiedziała starszej (to znaczy: młodszej) pisarce
że nie rozumie, dlaczego stan idealny także ulega
entropii, logika uczy inaczej, a potem rodzą się upiory (albo tylko duchy)
które się jednak kocha. — To wszystko z nadmiaru — powiada pani Eliza.
— Raczej z niedomiaru — mówi panna Brönte — z niedostatku wyobraźni
stworcy, natury albo ewolucji niedostosowanych w ogóle
do umysłu człowieka.

W swoim towarzystwie odnajdują spokój
i pewne duchowo-zmysłowe doznania, o których napiszą za sto lat
mniej więcej. Obie tworzą, wieczorami wychodzą nad rzekę patrzeć
jak za jej trzecim zakrętem ginie słońce, dla obu ojczyste.
— Chcę zostać —
mówi panna Brönte. — Chcę być z tobą, Elizo. — Niestety, przyjaciółko
— powiada pani Orzeszko i gładzi jej ciemne loki (czy mówiłam,
że ma ciemne loki?) — to słońce, na które patrzymy
zaszło jakieś sto lat temu i ja także jestem już *miniona*.
Cóż tu pomoże rozpacz, wobec faktów
można sobie rozpaczać; idzie jednak o to, że ona
nie rozumie w ogóle, jak jest możliwa przeszłość, w zasadzie nie wierzy
w istnienie ludzi żyjących dawniej niż przed narodzeniem
jej własnych rodziców, dalej pustka —
nie w sensie faktów, bo to
da się pojąć, ale *aktualności*, trwania; bo jak jest możliwy
16 sierpnia sprzed stu lat, nie sam dzień, ale jego
aktualność? Tamten wschód słońca, światło na koldrze Elizy
jej woda w misce, ucisk jej gorsetu i świeżo wyprasowana bielizna
pachnąca gorącym metalem żelazka, popołudniowy ból
głowy, przyjemność pisania, ciągnięcia liter
po gładkim papierze, taki ruch ręki przy w, a taki przy e,
a nie fakt polegający na tym, co jest zapisane;
jak to jest możliwe gdzie to jest jak znika —
— Czy jestem upiorem — pyta panna Brönte — czy sama nawiedzam
przestrzeń własnej wieczności, jak duch;
ciągle przebywam oceany czasu

ale z nich się nie można przedostać
na jakiś ląd —

*

Z okna pokoju widzę teraz morze, oddycha spokojnie
nad nim całe miasto obłoków: granaty grafity wrzosy róże żółcie
i wielka pręga słońca po wodzie;
jest 17 sierpnia 2010, na imię mam Marta
i aktualnie jest jeszcze niedziela —

wrzesień 1998

*Podziękowania dla Josepha Bediera, autora Tristana i Izoldy, oraz dla Francisa Forda
Coppoli, reżysera filmu Dracula wg Brama Stokera.*

Pierwszy domowy wiersz

Zmienna pogoda, mokra, liście przesycone wilgocią;
deszcz, opar w powietrzu, a zaraz potem
napada słońce — ale to światło blade
i ostre, niestabilne, wredne;
wtedy jestem zła i wółprzytomna
nie zdążam się przystosować, ciśnienie niskie, szum we łbie;
wtedy mam nastrój depresyjny
albo destrukcyjny
i mówię mu:
albo śpisz, albo jęczysz!

Drugi domowy wiersz

Dobra, tylko już nie pisz, już przestań
stawiać te zakręcone introwertyczne litery
co tak skrybiesz i drapiesz, uchodząc na tych
ciasno pozapełnianych dziesiątkach stron, tam
gdzie nie mam żadnej kontroli
ani nawet marnej reprezentacji, zdaje się, odpływając
cholera wie gdzie, gdzie cholera wie
jakie jest moje miejsce; już nie pisz
już ja popiszę.

1997

Trzeci domowy wiersz

Rany, ile ty masz na sobie:
sweter i czapkę i skarpety z szorstkiej owczej wełny;

i tak siedzi przy komputerze, do tego
ma włączony piecyk,
a to dopiero jest 15 września!

15 września 1998

O, kotek

Jakoś tam jestem zazdrosna, zazdrosna a jednocześnie
skrajnie niezazdrosna
chciałabym zobaczyć to wszystko
co mogłoby mu się zdarzyć, gdybym to nie była ja
gdyby mnie nie spotkał, gdyby inaczej się potoczyło
co wtedy: jakie osoby jakie tematy jakie słowa gdzie
jakie kolory jakie ubrania jakie wnętrza
na boga jakie wersje tego życia
które od lat już budzi się przy mnie
i mówi raczej mile zaskoczone:

o, kotek

listopad 1998

Pomiędzy

Tak stoi i stoi gapiąc się w okno
na ten plac gasnący w listopadowym zmierzchu;
nic nie widzi, wiem to, sama pamiętam ten widok, kiedy go nie widać
to szumiące ruchome tło wydarzeń, których nie ma
ale dzięki temu ruchowi wydaje się, że bardziej mogłyby być;
tak stoi i stoi i czas się w nim zatapia
jak w rozlewisku afrykańskiej rzeki o zachodzie słońca
brodzą w niej ptaki, stają, patrzą, mija wieczność, a one stoją;
i tak patrzy-nie-patrzy, przekraczając jak zawsze
swoim niezbyt jednoznacznym sposobem istnienia
granicę pomiędzy *jest a da się pomyśleć*, pomiędzy
męskim a żeńskim, pomiędzy *w środku i na zewnątrz*,
pomiędzy *tęsknię a mam*; pomiędzy

pomiędzy

listopad 1998

Dziewczynka kra kra z zapatkami

Nie ma jeszcze czwartej, a niebo takie ciemne
tysiące ptaków odlatuje na noc; ponad szumem i światłami miasta
chamskie gołe *kra kra!* Gołe niegdysiejsze śniegi
w samym sercu teraźniejszości. I gdzie tu się ukryć

skoro pod wielkim sklepem znów siedzi dziewczynka i jedną
jedyną zapalką
oświetla mrok. Chce widzieć, gdzie jest
a gdzie wiecznie przewiecznie *będzie* nie istniała. Jak ten
najszybszy z grupki *Homo erectus*, który wtedy w dolinie
pierwszy dopadł padliny, jak monsigniore, jak ona sama, kiedy już
ani *młoda genialna z rękami w kieszeniach*
jak w środę, ani jak w sobotę: przestraszona niemłoda niemrawa.
Nic w ogóle. Znowu urodziny
kolejnego życzliwego boga. Z mądrości natury wynikał
zimny śnieg. Jakiś pan szanowny
rzucił jej do spódnicy nową paczkę zapalek. — *Masz*
śmiertelna dziewczynko — powiedział. — *Baw się.*
Szukaj, aż się doszukasz. He he.
Cóż, znów zapaliła zapalkę i było jej różniej
w towarzystwie popiołu; popiołu, zawodzeń i błota.
Tyle pociechy z jednej
zapalki! Lecz w końcu była dzieckiem
z wyobraźnią. I miała swoje doświadczenia; 36 lat, powiedzmy, czy 56?
Ta postać istnienia nie imponowała jej, lecz *cóż* z tego wynika. Nicóż.
Więc wstała, trzymając nad głową zapaloną zapalkę
jak jakaś statua wolności
bo co mogła zrobić —

styczeń-luty 1999

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*.

Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/keff-nie-jest-gotowy-cykl>

Tekst opracowany na podstawie: Bożena Keff, *Nie jest gotowy*, OPEN Wydawnictwo Naukowe i Literackie, Warszawa 2000.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).